

Yukio Mishima

# Złota pagoda

przełożyła Anna Zielińska-Elliott



Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

Kiedy byłem dzieckiem, ojciec często opowiadał mi o Złotej Pagodzie.

Urodziłem się na odludnym cyplu wysuniętym w Morze Japońskie, na północny wschód od Maizuru. Mój ojciec nie pochodził stamtąd, lecz z Shiraku, przedmieścia we wschodniej części Maizuru. Namówiono go, by został duchownym. Potem powierzono mu rolę kapłana w świątyni położonej na oddalonym cyplu, ożenił się z miejscową dziewczyną i urodziłem się ja.

W okolicach przylądka Nariu nie było odpowiedniej szkoły, tak więc wkrótce musiałem opuścić dom rodziców i zamieszkać u wuja w rodzinnym mieście ojca. Zacząłem uczęszczać do miejskiego gimnazjum w Maizuru Wschodnim.

Rodzinne miasto ojca było pełne światła. Jedynie w listopadzie i grudniu zdarzało się, że nawet w pogodne dni bez jednej chmurki miewaliśmy po kilka przelotnych deszczów. Myślę, że może właśnie temu zawdzięczam swoje zmienne usposobienie.

W majowe popołudnia wracałem ze szkoły, siadałem w swoim pokoju na pięttrze i patrzyłem przez okno na wzgórze w oddali. Porośnięte wiosenną zielenią zbocza odbijały promienie zachodzącego słońca i wyglądało to

tak, jakby ktoś ustawił tam złoty parawan. Patrząc na te wzgórza, wyobrażałem sobie Złotą Pagodę.

Prawdziwą Złotą Pagodę widywałem oczywiście na różnych zdjęciach i w podręcznikach, ale w moim sercu niepodzielnie panował obraz pagody z opowiadań ojca. Ojciec nigdy nie twierdził, że rzeczywiście jest pokryta złotem, mówił tylko, że nie ma na świecie nic piękniejszego. Znaki, jakimi pisane były słowa „Złota Pagoda”, a nawet samo ich brzmienie, wryły się w moim sercu. Nic nie mogło się równać ze Złotą Pagodą.

Gdy tak przyglądałem się polom lśniącyemu złotem na zboczach dalekich wzgórz, myślałem, że to niewidzialna Złota Pagoda opromienia je swym blaskiem. Przełęcz Kichizaka, która oddziela prefekturę Fukui od Kioto, leży dokładnie na wschód — to właśnie nad nią wschodziło słońce. I choć Kioto znajduje się po przeciwnej stronie, ja wierzyłem, że to Złota Pagoda unosi się w promieniach słońca znad wzgórz w poranne niebo.

W ten sposób pagoda ukazywała mi się wszędzie, mimo że naprawdę nigdy nie było jej widać. Przypominała mi w tym tutejsze morze. Zatoka Maizuru była położona zaledwie o jakieś pięć kilometrów na zachód od Shiraku, lecz przesłaniały ją góry. Jednak w tej okolicy jakoś zawsze czuło się obecność morza. Czasem wiatr przynosił jego zapach, a kiedy było wzburzone, uciekające mewy obsiadały okoliczne pola.

Ponieważ fizycznie byłem słaby, zawsze przegrywałem w biegach czy w ćwiczeniach na poręczy. Poza tym od urodzenia się jąkałem i dlatego byłem raczej zamknięty w sobie. Wszyscy także wiedzieli, że wychowałem się w świątyni buddyjskiej. Źli chłopcy wyśmiewali się ze

mnie — udawali mnichów, którzy jękając się, recytują sutry. W jednej ze szkolnych lektur była historia o jękającym się detektywie. Specjalnie bardzo głośno czytali mi fragmenty, w których się jękał.

To jękanie oczywiście stanowiło pewną barierę między mną a światem. Nigdy nie mogłem wykrztusić pierwszej litery. Była jak zamek w drzwiach, oddzielających mój świat wewnętrzny od świata zewnętrznego. I ten zamek nie dawał się łatwo otworzyć. Ludzie zazwyczaj swobodnie posługują się słowami i w ten sposób bez trudu otwierają drzwi między tymi dwoma światami, mogą nawet otworzyć je na oścież, ale mnie się to nigdy nie udało. Mój zamek był kompletnie zardzewiały.

Gdy jękała usiłuje wykrztusić ten pierwszy dźwięk, męcząc się i denerwując, przypomina trzepoczącego się ptaka, który stara wyrwać się z pułapki w owym wewnętrznym świecie. Kiedy w końcu mu się uda, jest już za późno. To prawda, że czasem rzeczywistość zewnętrznego świata przystaje na chwilę i czeka, aż uda mi się uwolnić. Ale ta czekająca rzeczywistość traci swoją świeżość. Kiedy wreszcie z trudem docieram do świata zewnętrznego, już coś w nim zmieniło kolor, stało się nieostre, niewyraźne... i rozpościera się tam tylko jedyna rzeczywistość odpowiednia dla kogoś takiego jak ja; już nie tak świeża, a lekko nadgniła.

Łatwo sobie wyobrazić, że z tego powodu rozwinąłem w sobie dwa przeciwstawne rodzaje żądzy władzy. Bardzo lubiłem czytać życiorysy wielkich tyranów. Gdybym ja — jękający się i małomówny — był tyranem, moi poddani żyliby w ciągłym strachu, starając się z mego wyrazu twarzy odgadnąć, w jakim jestem humorze. Nie byłoby potrzeby uzasadniać mego okrucieństwa potoczystą,

jasną mową. Moje milczenie usprawiedliwiłoby wszystkie okrucieństwa. Cieszyłem się na myśl o tym, jak karałbym, jednego po drugim, wszystkich pogardzających mną nauczycieli i kolegów, ale jednocześnie sprawiało mi radość wyobrażanie sobie, że jestem artystą obdarzonym spokojną umiejętnością jasnego widzenia, królem wewnętrznego świata. I choć cielesną powłokę miałem mizerną, moje życie wewnętrzne było znacznie bogatsze niż u innych ludzi. To chyba naturalne, że chłopiec z trudną do ukrycia wadą uważał siebie za człowieka wybranego? Wydawało mi się, że świat szykuje dla mnie w przyszłości jakąś misję.

Przypominam sobie pewne wydarzenie. Gimnazjum miejskie w Maizuru Wschodnim miało wielkie boisko, otoczone łagodnie falującymi wzgórzami, a budynek szkolny był nowy i jasny.

Pewnego majowego dnia jeden z absolwentów, który teraz był studentem Wydziału Inżynierii Wojskowej Akademii Morskiej w Maizuru, dostał akurat przepustkę i przyjechał w odwiedziny do swojej starej szkoły.

Był opalony, spod daszka głęboko nasuniętej na czoło mundurowej czapki wystawał okazałych rozmiarów nos, słowem, od stóp do głów — wzór młodego bohatera. Otoczony wianuszkami młodszych uczniów, opowiadał o trudach życia w wojskowej dyscyplinie, ale mówił takim tonem, jakby to życie w rzeczywistości było luksusowe i wspaniałe. Cały promieniał dumą i choć był taki młody, wiedział już, jak udawać fałszywą skromność. Wypinał pierś odzianą w szamerowany mundur, jak galion na dziobie okrętu, nieustraszenie prującego wzburzone fale. Siedział na kamiennych schodkach

prowadzących na boisko, wśród grupki zasłuchanych uczniów. Na klombie opadającym ku boisku rosły wiosenne kwiaty — tulipany, groszek, anemony i maki. Magnolia nad jego głową rozpościerała gałęzie obsypane dużymi białymi kwiatami.

Zastygli w bezruchu mówiący i słuchacze wyglądali z daleka jak jakiś pomnik. Siedziałem sam na ławce przy brzegu boiska, mniej więcej dwa metry od nich. Tak się zwykle zachowywałem. Tak się zachowywałem w stosunku do majowych kwiatów, do noszonego z dumą munduru i do wesołego śmiechu. Młody bohater, zamiast skupić się na swoich wielbicielach, musiał zwrócić uwagę na mnie. Najwyraźniej nie ugiąłem się przed jego majestatem i to zraniło jego dumę. Zapytał chłopców, jak się nazywam, i zawołał mnie, choć wcale się nie znaliśmy.

— Hej! Mizoguchi!

Spojrzałem mu prosto w oczy, ale się nie odezwałem. W jego uśmiechu skierowanym ku mnie kryła się fałszywa łaskawość władcy.

— Nie odpowiadasz? Jesteś niemową?

— Jąjąjąjąkam się — odpowiedział w moim imieniu jeden z wielbicieli i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Szyderczy śmiech jest oślepiający. Ten okrutny śmiech kolegów, tak typowy dla chłopców w tym wieku, zabłysnął w moich oczach jak młode listowie, od którego odbiło się światło.

— Co? Jąkasz się? Może wstąpiłbyś do Akademii Morskiej? Przetrzepaliby ci skórę i zaraz by jąkanie przeszło.

Nie wiem, jakim cudem udało mi się od razu i wyraźnie odpowiedzieć. Słowa popłynęły jedno za drugim, natychmiast, niemal mimowolnie:

— Nie wstąpię. Ja zostanę mnichem.

Wszyscy zamilkli. Młody bohater pochylił się, zerwał źdźbło trawy i włożył je do ust.

— Taak? W takim razie za kilka lat, kiedy trzeba mnie będzie pogrzebać, może i ja będę potrzebował twoich usług.

Tego roku rozpoczęła się wojna na Pacyfiku.

Właśnie wtedy bez żadnych wątpliwości coś sobie uświadomiłem. Uświadomiłem sobie mianowicie, że powinienem wyciągnąć ramiona w stronę tego ponurego świata i czekać. Wkrótce i te majowe kwiaty, i mundury, i złośliwi koledzy, wszystko do mnie przyjdzie. Miałem świadomość, że pewnego dnia wszystko dostanie się w moje ręce. Chwycę ten świat u podstaw i wycisnę. Jednak taka świadomość nie mogła stać się powodem do dumy młodego chłopca. Była zbyt ciężka. Powód do dumy powinien być lżejszy, weselszy, dobrze widoczny, lśniący. Chciałem czegoś widocznego. Czegoś, z czego każdy mógłby być dumny. Czymś takim był na przykład krótki miecz u pasa tego studenta. Taki miecz — marzenie każdego uczniaka — był naprawdę piękną ozdobą. Plotka głosiła, że studenci Akademii Morskiej po kryjomu ostrzają nimi ołówki, ale mnie używanie takiego imponującego symbolu do codziennych czynności wydawało się czymś robionym jedynie na pokaz.

Kurtka mundurowa zawisała teraz na pomalowanym na biało ogrodzeniu. Także spodnie i koszula. Otoczone kwiatami ubranie wydzielało woń potu młodego chłopaka. Na białej koszuli przysiadła pszczoła, myśląc, że to kwiat. Ozdobiona złotym zygzakiem czapka,

zawieszona na słupku ogrodzenia, wyglądała tak samo jak przedtem na głowie studenta, nasunięta głęboko na oczy. Student poszedł na matę za szkołą, by spróbować się w zapasach, wyzwany przez młodszych kolegów.

To porzucone ubranie przypominało grób żołnierza, który zginął śmiercią bohatera. Bujne majowe kwiaty tylko wzmagają to wrażenie. Czapka z czarnym, błyszczącym daszkiem, wiszące obok skórzany pas i miecz. Oddzielone od ciała wyglądały jak pamiątki po młodym bohaterze. Emanowało z nich jakieś liryczne piękno, kompletne jak wspomnienie.

Upewniłem się, że w pobliżu nikogo nie ma. Od strony maty zapaśniczej dobiegły okrzyki. Wyjąłem z kieszeni zardzewiały nóż do temperowania ołówków, podkrađłem się do ogrodzenia i zrobiłem kilka brzydkich cięć na spodzie czarnej pochwy tego pięknego miecza.

Po przeczytaniu tej historii niektórzy być może uznali mnie za poetycznie nastrojonego chłopca. Ale aż do dziś nie prowadziłem nawet żadnych zapisków, a co dopiero mówić o pisaniu wierszy. Nie czułem potrzeby, by to, w czym byłem gorszy od innych, nadrabiać tym, w czym byłem lepszy. Innymi słowy, byłem zbyt zadufany w sobie, by zostać artystą. Tyrani i wielcy artyści pozostawali w sferze marzeń i zupełnie nie miałem ochoty, by naprawdę zabrać się do czegoś i próbować coś osiągnąć.

Ponieważ moim jedynym powodem do dumy był fakt, że ludzie mnie nie rozumieją, nigdy nie czułem potrzeby, by próbować innym wytłumaczyć, co czuję. Myślałem, że los odmówił mi zdolności widzenia tego, co widzą inni. Moja samotność rosła i przybierała na wadze z dnia na dzień, jak tucznik.



Nagle przypomniałem sobie tragiczne wydarzenie, które miało miejsce w naszej wsi. Mimo że wcale nie byłem w nie zamieszany, nie opuszczało mnie przekonanie, że się do niego przyczyniłem, a nawet brałem w nim udział. Dzięki niemu nagle stanąłem twarzą w twarz ze wszystkim — z życiem, z cielesnością, zdradą, nienawiścią i miłością. A moja pamięć z przyjemnością odrzuciła i pominęła to, co było szlachetne i dobre.

O dwa domy od domu mojego wuja mieszkała piękna dziewczyna. Na imię było jej Uiko. Miała duże przejryste oczy. Zachowywała się bardzo wyniośle, pewnie dlatego, że pochodziła z zamożnej rodziny. Wszyscy strasznie się nad nią unosili, ale ona trzymała się zawsze na uboczu i nie wiadomo było, co właściwie myśli. Pewnie była jeszcze dziewicą, lecz zazdrosne kobiety plotkowały, że musi być bezpłodna, bo bezpłodne kobiety tak właśnie się zachowują. Uiko skończyła właśnie żeńskie gimnazjum i zaczęła pracować jako pielęgniarka ochotniczka w wojskowym szpitalu w Maizuru. Nie było to daleko i do pracy dojeżdżała na rowerze. Wychodziła z domu jeszcze przed świtem, ponad dwie godziny wcześniej niż my, licealiści.

Pewnej nocy, nie mogąc usnąć, leżałem pochłonięty melancholijnymi wyobrażeniami o ciele Uiko. Po ciemku wyslizgnąłem się z łóżka, włożyłem tenisówki i wyszedłem w letni mrok wczesnego poranka. Tej nocy nie po raz pierwszy myślałem o ciele Uiko. Myślałem o nim od czasu do czasu, aż stopniowo te myśli utrwaliły się i utworzyły pewną całość. I tak jak ten ciąg myśli, ciało Uiko przerodziło się w określony kształt, biały i prężny, wonny i pogrążony w cieniu. Myślałem o swoich gorących palcach, które go dotykają. I o prężnej

skórze, którą czują. I o zapachu przypominającym pyłek kwiatowy.

Biegłem drogą pogrążoną w mroku. Nie potykałem się o żadne kamienie, prowadziła mnie ciemność.

Droga rozszerzała się i wiodła do małej osady Yasuoka, należącej do wioski Shiraku. Rosła tu wielka brzostownica. Pień był mokry od rosy. Ukryłem się za nim i czekałem na Uiko; powinna nadjechać od strony osady. Czekałem bez żadnych określonych zamiarów. Przybiegłem tu zdyszany, ale gdy trochę odpocząłem pod drzewem, zdałem sobie sprawę, że właściwie nie wiem, co dalej robić. Ponieważ jednak zawsze żyłem niejako bez związku z zewnętrznym światem, wyobrażałem sobie, że jeśli nagle się w nim znajdę, wszystko będzie łatwe i możliwe.

Komar uciął mnie w nogę. Zaczynały pisać koguty. Wyrząłem na drogę. W dali coś zajaśniało. Myślałem, że to pierwsze promienie świtu, ale to była Uiko. Jechała na rowerze; z przodu miał światło. Zbliżał się bezszelstnie. Wybiegłem zza drzewa i zagrodziłem jej drogę. Rower zatrzymał się gwałtownie.

Wtedy poczułem, że zamieniam się w kamień. Moja wola, pożądanie — wszystko skamieniało. Między mną a światem zewnętrznym nie było żadnego związku. Nadal otaczał mnie swoim nieruchomym bytem. Wybiegłem nocą w białych tenisówkach z domu wuja, dotarłem aż do tego drzewa i okazało się, że ciężko dysząc, biegłem tylko we własnym świetle. Kontury dachów rysujące się niewyraźnie w ciemności, czarne pnie drzew, szczyty wzgórz pokrytych zielenią, nawet stojąca przede mną Uiko — wszystko było całkowicie bez znaczenia. Rzeczywistość znalazła się tutaj bez mojego udziału. Ta wielka, ciemna, pozbawiona znaczenia rzeczywistość